

LUDKA SKRZYDLEWSKA

PRĘDZEJ PIEKŁO ZAMARZNIE

PRZYJACIOŁ TRZYMAJ BLISKO, ALE WROGÓW...
JESZCZE BLIŻEJ



Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Projekt okładki: Justyna Sieprawska

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/prpiza>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-1427-8

Copyright © Helion S.A. 2025

Printed in Poland.

- [Kup książkę](#)
- [Poleć książkę](#)
- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to! » Nasza społeczność](#)



Rozdział 1.

Marigold

Świat widziany do góry nogami czasami jest całkiem zabawny.

Ale nie wtedy, gdy wisi się za nogę na skraju dachu.

– Mari, na litość boską! – krzyczy z dołu Lizzie. – Mari! Dzwonię po straż pożarną!

W jej głosie słyszę autentyczne przerażenie, jakby rzeczywiście coś mi groziło. A przecież do ziemi mam raptem jakieś piętnaście stóp.

No dobrze, to całkiem sporo, nawet biorąc pod uwagę zalegającą tam cienką warstewkę śniegu. Ale przecież Lizzie mogłaby mi podłożyć materac albo coś i nie fatygować służb, prawda?

Wymachuję rękami, próbując się czegoś chwycić. Czegokolwiek, co pomogłoby mi się dźwignąć i odzyskać równowagę oraz pionową pozycję. Czuję, że krew odpływa mi do mózgu, i chyba czerwienieje mi twarz, ale znacznie bardziej zajmuje mnie fakt, że lada chwila prawdopodobnie urwę sobie stopę w kostce. Ból jest niesamowity, chociaż wcale nie jestem taka ciężka, a moje próby odciążenia nogi niewiele dają.

Może to dlatego, że wiszę do góry nogami z pieprzonego dachu. W dodatku kurtka mi się podwija, przez co nagie plecy są smagane ostrymi podmuchami wiatru niosącego ze sobą drobinki śniegu. To wprost cudowne rozpoczęcie sezonu zimowego.

– Dobra, dosyć tego! – drze się z dołu Lizzie. – Dzwonię po strażaków!

– Nie dzwoń! – błagam. – Jutro będę pośmiewiskiem w całym miasteczku!

– Będiesz ŻYWYM pośmiewiskiem! – odkrzykuje moja macocha. – Wolę żywe pośmiewisko niż martwe!

– Ja nie! – protestuję stanowczo. – Wolę umrzeć niż pokazać się wszystkim w takiej sytuacji!

– Mam w nosie, co wolisz – mamrocze Lizzie. – Idę po telefon.

– Nie zostawiaj mnie! – drę się.

Tak naprawdę wcale nie wolę być martwa niż żywa. Mam jeszcze całkiem sporo do zrobienia – muszę na przykład założyć lampki na drugiej połowie dachu. Mimo to na myśl o wzywaniu do mnie straży pożarnej robi mi się niedobrze. I to raczej nie dlatego, że wiszę z dachu głową w dół i zaczyna mi się w niej kręcić.

W zeszłym roku to tata zakładał lampki. W tym wszystko spadło na głowy moje i Lizzie i nie chcę po sobie pokazać, że cokolwiek tutaj mnie przerasta. Radzę sobie ze wszystkim perfekcyjnie. Zupełnie jak radził sobie tata.

Prawda?

– Przynieś drabinę – proszę słabo. – Jest w szopie.

– Nie wejdę do ciebie po drabinie – protestuje Lizzie z histerią.

Wzdycham, próbując zachować spokój.

– Wolisz patrzeć, jak twoja pasierbica umiera? – pytam uprzejmie i odczekuję chwilę, a kiedy odpowiedź nie pada, dodaje: – Tak myślałam. Proszę, idź po tę cholerną drabinę. Poradzimy sobie bez wzywania strażaków.

Nie jestem kotem, który zabłąkał się na jakimś drzewie i teraz nie umie z niego zejść, do diabła.

Odgłos pospiesznych kroków Lizzie się oddala i po jego kierunku domyślam się, że rzeczywiście udała się do szopy, nie do domu po telefon. Oddycham z ulgą, ale już w następnej chwili zaczynam panikować, bo sznur lampek zawieszony wokół mojej nogi

poluzowuje się nieco i zsuwam się kilka cali w dół. Teraz poza nim mam już nie tylko głowę, ale i ramiona, co zapewne oznacza, że możliwość wdrapania się z powrotem bezpowrotnie przepadła.

Przymykam oczy i powoli liczę do dziesięciu. Wszystko będzie dobrze. Na pewno nie umrę przed własnym pensjonatem podczas próby przystrojenia go z okazji nadchodzących świąt Bożego Narodzenia. Nie ma takiej opcji. To byłoby zbyt mroczne nawet jak na mnie.

Tak właściwie to ja wcale nie jestem mroczna.

– Już! – krzyczy Lizzie, a jej głos z powrotem się przybliża. – Może zawołam Garretta, żeby nam pomógł?

– Po moim trupie – mówię słabo.

Słyszę, jak Lizzie opiera drabinę o ścianę pensjonatu tuż przy miejscu, w którym zwisam z dachu.

– To nie jest takie nieprawdopodobne – zauważa. – Wolałabym, żebyś nie mówiła serio, Mari!

Nie uznaję za stosowne odpowiedzieć. Jedynie z powrotem otwieram oczy i próbuję dostrzec do góry nogami cokolwiek, co dzieje się pode mną.

Moja macocha właśnie wspina się po drabinie. Na dworze jest naprawdę zimno, a ona włożyła jedynie rozpiętą puchówkę na koszulkę z krótkim rękawem. Włosy ma rozwiane, a w oczach obłęd. Pewnie nie powinnam się śmiać, bo Lizzie naprawdę jest przerażona, że coś mogłoby mi się stać, ale nic nie poradzę na to, że cała ta sytuacja mnie bawi.

– Dlaczego ja ci w ogóle na to pozwoliłam – marudzi po drodze. – Trzeba było wezwać fachowców. Nie powinnaś chodzić po dachu...

– Dekorowanie pensjonatu na święta było tradycją taty – protestuję. – Przejmę ją, czy ci się to podoba, czy nie, i nie będę się oglądać na fakt, że jestem dziewczyną.

– Świetnie się to dla ciebie skończyło – mamrocze Lizzie.

W następnej chwili dociera do szczytu drabiny, która niestety wciąż nie dosięga do krańca dachu. Kiedy Lizzie wyciąga się w górę,

jest jednak w stanie mnie popchnąć, próbując pomóc mi się dostać z powrotem na dach. Ogarnia mnie dziwne poczucie bezpieczeństwa, gdy jej dłonie lądują na moich barkach i gdy zaczyna mnie asekurować.

Wyciągam ręce i chwytam się brzegu dachu, próbując się podciągnąć. Z jednej strony pcha mnie Lizzie, a z drugiej moja własna determinacja. Stękam, próbując wsunąć się głębiej, aż w końcu pod plecami czuję podparcie z czegoś stabilniejszego niż ramiona Lizzie. To skraj dachu, na który wczołguję się i kładę wzdłuż rynny, próbując odzyskać oddech i uspokoić drżące nogi oraz helikopter w głowie.

– Wszystko w porządku?! – drze się Lizzie.

Wydaję z siebie bliżej nieartykułowany jęk.

– Żyję, ale co to za życie – odpowiadam. – Zawiesiłam tylko połowę lampek!

– Jeśli myślisz, że wrócisz teraz do zawieszania lampek, to jesteś w ogromnym błędzie, moja panno – oznajmia surowo Lizzie. – W tej chwili złaż z dachu. Słyszysz?!

Przewracam oczami, po czym powoli gramolę się na kolana i podnoszę głowę. *Och, jak mi się w niej kręci.* Czuć wraca mi do wszystkich kończyn, a noga przestaje pulsować ostrym bólem, co chyba jest dobrą oznaką. Pewne miejsca nadal mnie bołą, ale to przynajmniej oznacza, że wciąż żyję.

W wieku dwudziestu trzech lat to nie powinno być osiągnięcie, ale dla mnie jest.

Podnoszę się w końcu do siadu i pokazuję Lizzie uniesiony kciuk. Moja macocha mamrocze coś pod nosem – w jej wypowiedzi słyszę nawet kilka niecenzuralnych słów – po czym schodzi z drabiny i zeskakuje z niej na podjazd przed pensjonatem. Jak to dobrze, że nikt nie przyjechał do nas akurat w tym momencie.

Znając moje szczęście, to byłoby możliwe.

Po minie Lizzie widzę, że jest naprawdę zaniepokojona, i robi mi się z tego powodu okropnie głupio. To ja wymyśliłam, że wejdę

na dach. Zupełnie nie pomyślałam, jak bardzo to przerazi moją macochę. Prawdę mówiąc, w ogóle o niej nie pomyślałam. Miałam w głowie jedynie wszystkie te tradycje, które co roku kultywował tata...

Zanim odszedł.

Z westchnieniem spoglądałam na część dachu, którą udało mi się pokryć lampkami. Na szczęście to ta od strony podjazdu. Od strony ogrodu za pensjonatem nikt niczego nie zauważył.

To znaczy do czasu, aż tu wrócę i dokończę robotę.

Oczywiście mogłabym to zrobić teraz, ale Lizzie za bardzo się denerwuje. Widzę, jak śledzi mnie niespokojnym wzrokiem, jakby obawiała się, że za chwilę jednak zlecę z tego dachu. Zna mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, jak bardzo jestem uparta i zdeterminowana, by poradzić sobie sama.

– Dzwonię do Garretta – oznajmia. – Pomoże ci zawiesić te cholerne lampki.

Wzdycham rozdzierająco.

– Nie dzwoń – proszę. – Sama do niego pójde.

Lizzie mruży oczy.

– Obiecujesz?

– Obiecuję – mamrocze, ale kiedy moja macocha unosi brwi, orientuję się, że tego nie usłyszała. – Obiecuję! – powtarzam dużo głośniej. – Jezus, czy ty musisz być taka apodyktyczna?

– Twojemu ojcu się to podobało – fuka Lizzie, po czym znika w drzwiach pensjonatu.

Przewracam oczami i wstaję chwiejnie na nogi, by powoli skierować się do wyjścia na strych. Staram się nie potknąć po drodze o te sznury lampek, które już udało mi się przywiesić.

Mamy początek grudnia, a ja odkładałam zakładanie świątecznych dekoracji tak długo, jak tylko mogłam. Całe Silver Springs jest już gotowe na święta, a nasz pensjonat, Silver Lodge, nadal nie. Wszystko przez to, że nie miałam serca zabrać się za dekorowanie, mając w pamięci to, że zazwyczaj zajmowałam się tym z tatą.

Docieram w końcu do zejścia i powoli zsuwam się po drabinie aż do tego niskiego, utrzymanego w idealnym porządku pomieszczenia. Zamykam właz na dach i ściągam kurtkę, po czym ruszam do drzwi, jednak w połowie mojej drogi te się otwierają i w progu staje Lizzie.

Nadal jest zarumieniona po przebywaniu na dworze i nieco rozczochrana. Nadal ma też ten szczególny rodzaj obłądu w oczach. Bez słowa chwyta mnie za rękę i wyprowadza ze strychu, chociaż z trudem schodzimy obok siebie po wąskich schodkach prowadzących na piętro.

– Straciłam w tym roku już jednego Price’a – mamrocze, a moje serce ściska się boleśnie na myśl, że bała się o mnie. – Nie stracę też drugiego, jasne? Masz nigdy więcej się tak nie narażać, Mari!

Czekam jedynie, aż zejdziemy ze schodów, a gdy stajemy na korytarzu na piętrze, odwracam się do niej i przytulam ją mocno. Lizzie obejmuje mnie odruchowo, a ja ściskam ją, jakby od tego zależało moje życie.

– Przepraszam – mruczę. – Bardzo chciałabym poradzić sobie ze wszystkim sama. Ale poproszę o pomoc Garretta, jeśli będziesz się z tym czuła lepiej. W porządku?

Lizzie kiwa głową.

– Czy mogłabyś też rozważyć rezygnację ze zjazdów na północnym stoku...

– Nie. – Wypuszczam ją z objęć i cofam się o krok, by stwierdzić, że Lizzie się uśmiecha. Nie mówi poważnie, bo wie, że i tak by mnie nie przekonała. – Jeżdżę na północnym stoku od dziecka. Znam te góry jak własną kieszeń.

Mrugam do niej i wymijam ją, by pójść odwieść kurtkę i zajrzeć do kuchni. Potrzebuję herbatki rozgrzewającej Lizzie. Macocha idzie za mną. Czuję za sobą jej obecność i to od razu sprawia, że napełnia mnie poczucie bezpieczeństwa.

Może inni narzekają na swoje macochy, ale ja na Lizzie – nigdy. Moja biologiczna mama zmarła na raka, gdy miałam dziesięć lat.

Tata przez długi czas po jej odejściu nie mógł się pozbierać, a potem pojawiła się Lizzie i wszystko odmieniła. Sprawiała, że w naszym domu znowu pojawił się śmiech. Że święta znowu stały się czymś więcej niż tylko komercją dla turystów. Zamieniła nasz pensjonat w dom.

Lizzie ma teraz czterdzieści sześć lat, ale wcale na tyle nie wygląda. Ciemne, kręcone włosy zazwyczaj spina w nieporządną kok na czubku głowy. Zawsze promienieje uśmiechem, a w jej niesamowicie zielonych oczach czai się czasami coś, co przypomina mi, że zanim przybyła do Silver Lodge, jej życie również nie było usłane różami. Wyższa ode mnie i smukła, na recepcji zawsze czaruje naszych gości tak, że ci zapominają, po co przyjechali. Jest niesamowita.

Kocham ją zupełnie jak moją biologiczną mamę, ale nigdy nie nauczyłam się mówić do niej inaczej niż po imieniu, a ona nie ma nic przeciwko. Jest dla mnie zarówno rodzicem, jak i przyjaciółką, więc to chyba pasuje.

– Warto było spróbować – mamrocze, a ja uśmiecham się pod nosem. – Chodź do kuchni. Zrobię ci zimowej herbatki.

Lizzie doskonale wie, czego mi potrzeba.

Robię krótki postój w swoim pokoju na piętrze i w łazience, a potem spotykam się z nią na dole. Główny hol, który prowadzi od wejścia do recepcji i schodów na piętro, został już przeze mnie udekorowany na święta: przy recepcji stoi wielka kolorowa choinka, na poręczach świecą się lampki, na konsolach leżą dekoracje z gałęzi i bombek, a nad wejściem powiesiłam jemiołę. Do świąt pozostał jeszcze prawie miesiąc, ale dla pensjonatu i Silver Springs to już najwyższy czas na świąteczne dekoracje. Właśnie zaczyna się najbardziej pracowity dla nas sezon w roku.

Nasze niewielkie miasteczko ze stokami narciarskimi lepszymi od tych w Aspen o tej porze roku przeżywa najazd turystów. Kocham ten czas, ale wiem, że tym razem będzie jeszcze trudniejszy i bardziej wymagający, bo to pierwszy rok, kiedy nie ma z nami taty.

Stojąca w recepcji Sutton posyła mi współczujące spojrzenie.

– Słyszałam o tej porażce na dachu – zagaduje. – Wszystko w porządku?

Noga nadal mnie nieco boli, ale robię dobrą minę do złej gry. Sutton to moja przyjaciółka jeszcze ze szkoły. Pracuje z nami od mniej więcej sześciu miesięcy – dla niej to pierwszy świąteczny sezon w Silver Lodge. Prawie współczuję jej tego, co dopiero tu przeżyje.

– Oczywiście – zapewniam. – Czuję się świetnie.

Uśmiecham się i przechodzę obok niej do korytarza wiodącego do kuchni.

Nie wspominam, że odkąd tata odszedł, wcale nie czuję się świetnie. Raczej tak, jakbym dryfowała bez celu.



Rozdział 2.

Marigold

Kiedy mija pora obiadowa, wsiałam w samochód i jadę do Garretta.

Garrett to przyjaciel ojca jeszcze z czasów, gdy obaj byli młodzi. Prowadzi warsztat samochodowy niedaleko naszego pensjonatu, dlatego droga do niego nie zajmuje wiele czasu i nie muszę nawet wjeżdżać do miasteczka. Oczywiście, uwielbiam je, ale wiem, że przejście przez główną ulicę zajęłoby mi pół godziny, tak wiele osób zazwyczaj mnie zaczepia i chce chwilę porozmawiać.

Nie chodzi o to, że jestem w Silver Springs jakoś przesadnie popularna. Tutaj po prostu wszyscy się znają. Każdy zawsze ma każdemu coś do powiedzenia.

Wysiadam z mojej półciężarówki na podjeździe przed warsztatem i nieco za mocno trzaskam drzwiami, żeby mieć pewność, że się zamknęły. Garrett grzebie pod maską jakiegoś auta zaparkowanego w tunelu, ale na dźwięk zatraskiwanych drzwi podnosi głowę i mruży oczy.

– Tak myślałem, że to ty – rzuca. – Pozwolisz mi wreszcie spojrzeć na te drzwi?

Wzruszam ramionami, bo uważam to za całkowicie zbędne, a potem się do niego uśmiecham.

Jest naprawdę zimno, sama mam na sobie grubą puchową kurtkę i ocieplane buty, ale Garrett stoi w drzwiach garażu ubrany jedynie w podkoszulek i dżinsy. Jemu nigdy nie jest zimno. Ma atrakcyjnie szpakowate włosy, a jego surowe spojrzenie mięknie nieco na mój widok. Jest wysoki i żyłasty, a gdy zamyka maskę samochodu, nad którym się pastwił, mięśnie grają mu pod skórą.

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby – zapewniam, idąc w jego stronę. – Za to możesz mi pomóc z czymś innym.

Garrett otwiera ramiona, a ja przytulam się do niego tak jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. Pachnie smarem i olejem samochodowym, tak samo jak zwykle.

Odsuwam się, a on kiwa głową za siebie, po czym prowadzi mnie na zaplecze. Przechodzimy przez warsztat, gdzie przy innych samochodach pracuje dwóch jego podwładnych, których przyucza do zawodu, a potem zamykamy się w przeszklonym, niewielkim, zaizolowanym papierami biurze.

Jako dziecko bywałam tu tak często, że znam każdy ten kąt jak własną kieszeń. Garrett zaprzyjaźnił się z moim ojcem, gdy chodzili razem do szkoły. Swego czasu rywalizowali nawet o względy mamy, ale tata wygrał, potem pojawiłam się ja, a Garrett został moim ojcem chrzestnym.

Teraz chwyta stojący na biurku kubek z czarną kawą i upija łyk.

– Niech zgadnę – mówi. – Mam ci pomóc z dekoracjami świątecznymi w pensjonacie.

Wytrzeszczam oczy.

– Skąd wiedziałeś? – pytam. – To takie oczywiste, że nie poraziłabym sobie z nimi sama?

Garrett wzrusza ramionami i posyła mi swój firmowy uśmiech.

– Nie, Lizzie dzwoniła do mnie jakieś pół godziny temu – informuje mnie spokojnie. – Podobno za tą decyzją stoi jakiś wypadek na dachu czy coś takiego.

Uchodzi ze mnie całe powietrze. Siadam ciężko na krześle przy jego biurku, a Garrett zajmuje swoje miejsce u jego szczytu,

w obrotowym fotelu. Zgarnia na bok jakieś papiery i kładzie na blacie nogi w ciężkich buciorach.

– Prosiłam, żeby pozwoliła mi to sama załatwić – mamroczę.

– Widocznie ją przestraszyłaś, dzieciaku, i chciała się upewnić, że poprosisz o pomoc – zauważa łagodnie Garrett. – Z pewnością obie czujecie się tak samo. Tyle co straciłyście twojego ojca. Lizzie nie chce stracić też ciebie.

Przewracam oczami.

– To był całkowicie niewinny wypadek. Nic mi nie groziło.

– Lizzie powiedziała mi co innego – protestuje cierpko mój ojciec chrzestny. – Co dokładnie jest niewinnego w zwisaniu głową w dół z dachu?

Lizzie naprawdę to wyolbrzymiała.

– Miałam wszystko pod kontrolą – oznajmiam bez przekonania. Garrett śmieje się sucho.

– Dzieciaku, znam cię od lat i doskonale wiem, kiedy ściemniasz – mówi bezlitośnie. – Teraz ściemniasz na maksa. Słuchaj, nie jestem twoim ojcem i nie zamierzam cię pouczać, ale pomyśl przez chwilę, jak musiała się czuć Lizzie. To naprawdę nie wstyd poprosić o pomoc. Przyjadę i zawieszę wam te pieprzone lampki.

Przez chwilę gapię się na niego bez słowa. Nie chciałam niepokoić Lizzie, naprawdę. Nic nie poradzę na to, że czuję się jak porażka. Jeśli nie potrafię sama zawiesić pieprzonych lampek, to jak niby mam sobie poradzić z prowadzeniem pensjonatu bez taty?

Minęło dopiero pół roku od jego śmierci i jego nieobecność nadal jest dla mnie trudna do zniesienia, niczym ogromna dziura w sercu. Wolałabym, żeby pensjonat przejęła Lizzie, ale testament ojca mówił jasno, że to ja mam go odziedziczyć. Macocha mi pomaga, ale czuję się totalnie nieprzygotowana do tej roli i opuszczona przez tatę, którego wciąż potrzebuję. Mam dopiero dwadzieścia trzy lata. To chyba nic dziwnego, że tak jest, zwłaszcza że odszedł tak nagle. Nie chorował latami jak mama. Nie miałam czasu, żeby przyzwyczaić się do myśli, że za chwilę go nie będzie.

Po prostu zostawił mnie samą ze wszystkim, a teraz ja próbuję sprostać wymaganiom innych. I mam wrażenie, że polegam z krete-
sem.

– Co znowu? – pyta Garrett, zapewne widząc, że się zawiesiłam.

Potrząsam głową.

– Nic – mamroczę. – Pomogę ci z lampkami.

– Jasne, dzieciaku – rzuca. – Pomożesz mi z ziemi.

Krzywię się. Nagle to przezwisko, którym Garrett obdarza mnie, odkąd pamiętam, wydaje mi się adekwatne jak nigdy wcześniej. Jestem tylko głupim dzieciakiem. Jak mam pociągnąć ten biznes bez taty, jeśli nie potrafię nawet przystroić pensjonatu na święta?

Mam wrażenie, że to był pierwszy prawdziwy test, który oblałam. Ale może niepotrzebnie to wszystko wyolbrzymiam.

– Będzie dobrze, Mari – dodaje Garrett nieco łagodniej, bo chyba przeczuwa, jakie myśli chodzą mi po głowie. – Twój ojciec też nie robił wszystkiego sam. Często pomagałem mu z dekoracjami, więc dlaczego nie miałbym zrobić tego samego dla ciebie? Poza tym... wiesz przecież, kto przede wszystkim mu pomagał.

Kiwam głową.

– Lizzie.

– Nie, nie Lizzie – protestuje Garrett. – Ty. Ty odwaliałaś za niego kupę roboty, odkąd tylko odrosłaś od ziemi wystarczająco, by móc to robić. Twój ojciec nigdy nie musiał niczego ogarniać sam. Miał wokół siebie ludzi, którzy byli gotowi mu pomóc. Najpierw twoją mamę, potem Lizzie, i zawsze ciebie. Nie był żadnym superbohaterem, dzieciaku, po prostu wiedział, jak poprosić bliskich o pomoc. Ty też możesz to zrobić, kiedykolwiek będziesz potrzebować. Zwłaszcza że w przeciwieństwie do niego, nie masz obok siebie drugiej Mari.

Jego słowa chwytają mnie za serce i sprawiają, że moje gardło się zaciska. Mam ochotę się rozplakać, ale z trudem się powstrzymuję.

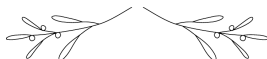
Tata zawsze miał dar zjednywania do siebie ludzi i tworzenia wokół siebie przyjaznego otoczenia. Każdy chętnie mu pomagał,

bo wiedział, że on w razie konieczności odwzięczy się tym samym. Nie wiem, czy potrafię zrobić to samo, ale na pewno będę próbowała.

– Dzięki, Garrett – mówię lekko zachrypniętym głosem.

On tylko uśmiecha się pobłaźliwie.

– Zawsze do usług, dzieciaku.



Po spotkaniu z Garrettem bardzo potrzebuję kawy, więc jadę do centrum miasteczka do jedynej znajdującej się tam kawiarni.

Silver Springs jest zaskakująco małe jak na kurort narciarski i niesamowicie urocze. Mieści w sobie kilka pensjonatów, parę restauracji, dwa usilnie ze sobą konkurujące sklepy z ekwipunkiem narciarskim i ogólnie sportowym, jedną kawiarnię, sklep spożywczy, kwiaciarnię, szkołę i bibliotekę. Na głównej ulicy znajduje się parę straganów z pamiątkami, które są rozkładane zwykle na początku sezonu narciarskiego, a zwijane pod jego koniec, i oferują szeroki wybór asortymentu – od magnesów z widokami Silver Springs aż po szaliki i czapki narciarskie, a także maskotki pumy płowej, symbolu Silver Springs, choć żadnej nie widziano tu już od kilkunastu lat.

Zajeżdżam przed kawiarnię, po czym witam się z Andrew, właścicielem najbardziej prestiżowej restauracji w mieście, jedynej oferującej włoską kuchnię od prawdziwego włoskiego kucharza. Andrew poznał Angelo podczas swojej podróży do Włoch, zakochał się, ściągnął do go nas i odtąd są nierozłączni. Złośliwi mówią, że był mu potrzebny wyłącznie do utworzenia knajpy, ale ja spotykam się z nimi czasami prywatnie i wiem, że to bzdury, bo razem są naprawdę szczęśliwi. Zresztą wytrwali w związku już ponad dwadzieścia lat; gdyby im się nie układało, już dawno by się rozstali.

– Macie jeszcze jakieś wolne miejsca w pensjonacie? – pyta Andrew od niechcienia, opierając się o drzwi restauracji i poprawiając mankiety swojej czarnej koszuli.

Wzruszam ramionami.

– Raczej jesteśmy pełni – odpowiadam. – Znajdą się pewnie wolne jakieś pojedyncze dni, ale to wszystko. Czemu pytasz?

– Z ciekawości. – Andrew zamyśla się, po czym dodaje: – Krążą plotki.

Jestem już w połowie drogi do kawiarni mieszczącej się w kamienicy obok, ale na te słowa zatrzymuję się w pół kroku.

– Jakie plotki?

– Niejasne. – Andrew macha lekceważąco ręką. – Podobno ktoś skupuje ziemie na obrzeżach Silver Springs. Kilka osób mi o tym mówiło. Ale nikt tak naprawdę nie wie, po co i czy to w ogóle prawda.

Czuję piknięcie niepokoju, ale natychmiast je uciszam. To na pewno nic takiego. Takie plotki pojawiają się w mieście od czasu do czasu. Sądzę, że poza sezonem narciarskim ludzie po prostu momentami się tutaj nudzą i potrzebują czegoś, co zajmie im umysł. Nawet jeśli to jakieś głupie pomówienia.

– Pewnie niedługo się dowiemy – rzucam na odczepnego. – Miłego dnia!

Andrew również życzy mi tego samego, a potem uciekam w końcu do kawiarni.

Pani Emerson krząta się za barem, ubrana w świąteczny sweter i – jak zauważam z pewnym zaskoczeniem – już przygotowuje dla mnie kawę. Sieć plotkarska w Silver Springs działa bez zarzutu i zapewne ktoś już ją poinformował, że do niej zmierzam. Być może był to nawet Garrett.

Przy stolikach siedzi kilku gości, sącząc niespiesznie kawę, a z głośników płynie świąteczny przebój Mariah Carey. Pani Emerson uśmiecha się do mnie leniwie, jakby miała do dyspozycji cały czas tego świata.

– Dzień dobry, kochana – mówi na przywitanie. – Jak się czujesz? Jak się ma Lizzie?

– A dziękuję, dobrze – odpowiadam, stając przy ladzie. – A pani? Dobry dzień?

– Jak zwykle. – Pani Emerson z uśmiechem stawia przede mną dwie kawy. – Takie jak lubicie.

W tym samym momencie czuję wibrację telefonu, więc wyciągám go z kieszeni kurtki. To wiadomość od mojej macochy.

Lizzie: *Wracaj do pensjonatu. Proszę.*

Marszczę brwi, po czym pospiesznie płacę za kawy i żegnam się z panią Emerson. Jeśli Lizzie pisze do mnie w ten sposób, to znaczy, że coś się stało. Ona nigdy nie prosi mnie, żebym wróciła wcześniej do domu, chyba że dzieje się coś, co naprawdę wymaga mojej obecności. Podejrzane jest również to, że nie podała żadnych szczegółów.

Pakuję więc kawy do samochodu i ruszam z powrotem do pensjonatu.

Dzwonię do Lizzie w drodze powrotnej, włączwszy tryb głośnomówiący. Moja macocha nie odbiera, co tylko wzmacnia moje przekonanie, że dzieje się coś złego. Zanim dojeżdżam na miejsce, jestem już porządnie wystraszona. Lizzie napisała mi bardzo podobną wiadomość kilka miesięcy temu, gdy czekała na karetkę, która miała zawieźć tatę do szpitala. Nie zdążyłam się z nim wtedy zobaczyć.

Zajeżdżam przed pensjonat z rykiem silnika i hamuję tak gwałtownie, że opony aż buksują w żwirze pokrywającym podjazd. Wyskakuję na zewnątrz, ale zatrzymuję się na widok obcego samochodu na naszym niewielkim parkingu. Stoi tam coś, co absolutnie nie nadaje się na drogi Silver Springs – coś czerwonego i o niskim zawieszeniu. Nasi klienci raczej nie przyjeżdżają takimi autami, bo po co? W środku nie zmieściłaby się nawet jedna narta.

Robię krok w stronę wejścia do pensjonatu, ale wtedy wyłania się z niego ktoś, kogo rozpoznaję od razu, mimo że gdy ostatnio się widzieliśmy, ja miałam czternaście lat, a on szesnaście. Kiedy go widzę, na moment zapominam, jak się oddycha.

Saint Ashford, mój przyjaciel z dzieciństwa.

I biologiczny syn Lizzie.



Rozdział 3.

Saint

– Pamiętaj, że na ciebie liczę – mówi ojciec, zanim rozłącza się bez pożegnania.

Krzywię się, klikając w telefonie, by na nowo pokazał mi nawigację. Rozmowa z tym człowiekiem podczas prowadzenia samochodu zawsze jest zbyt rozpraszająca, nawet na głośnomówiącym. Przy nim nigdy nie można być tylko w połowie skupionym, bo on od razu to wyczuje jak rekin krew w wodzie i będzie równie bezlitosny.

Gwałtowny zakręt każe mi spojrzeć z powrotem na drogę. Skrećam kierownicę, w ostatniej chwili ratując moje bugatti przed niekontrolowanym zjazdem w dół wzniesienia wśród drzew i krzywizn terenu. Odruchowo zdejmuję nogę z gazu, chociaż to nie w moim stylu. Kurwa. Jeszcze tego mi brakuje, żeby umrzeć na tym zadupiu w głupim wypadku samochodowym!

Ponownie zerkam na nawigację i znowu się krzywię, stwierdzając, że do Silver Springs zostało mi zaledwie kilka mil drogi. Wprawdzie jestem w ruchu od rana – tak wczesnego, że właściwie było jeszcze ciemno, gdy wyjechałem – i marzę o porządnym łóżku oraz prysznicu, ale równocześnie nie mam ochoty jechać do tej dziury. A ojciec doskonale o tym wie i właśnie dlatego mnie tam wysłał.

Albo to, albo po prostu sam nie ma nerwów, by tam wracać, tylko nie chce się do tego przyznać, bo to obnażyłoby jego słabość.

Wzdycham i włączam radio, szukając jakiejś lokalnej stacji, ale najwyraźniej w pobliżu Silver Springs nie działa nic, a otaczające miasteczko góry skutecznie blokują wszelki odbiór fal radiowych. Nie pamiętam tego z czasów, kiedy tu mieszkalem, ale wtedy chyba nie interesowałem się zbytnio radiem. Zajmowało mnie mnóstwo innych rzeczy, które ciekawiły młodego chłopaka, jakim byłem.

Fun fact: odkąd opuściłem Silver Springs, nigdy już nie miałem na nogach nart.

W końcu wjeżdżam do miasteczka, by ze zdziwieniem stwierdzić, że niewiele się zmieniło, odkąd wyjechałem stąd dziewięć lat temu. Na rogu w centrum dalej stoi ta sama restauracja, a kawałek dalej widzę ten sam sklep ze sprzętem narciarskim, w którym dorabiałem sobie jako dzieciak podczas przerwy świątecznej. Budynki nie wyglądają na zaniedbane, są odmalowane i utrzymane w porządku, ale wszystko zdaje się tu zatrzymane w czasie. Zaczynam rozumieć, dlaczego ojciec podjął taką, a nie inną decyzję.

Silver Springs jest naprawdę pięknie położone. Malowniczo rozciągnięte w kotlinie między zaśnieżonymi szczytami Gór Skalistych, z pewnością chwyta za serce niejednego znawcę naturalnego piękna. Powinno się pozwolić temu miasteczku rozkwitnąć, zamiast taplać się w przeszłości. I właśnie to zamierzam zrobić.

Dla ojca to ostateczny sprawdzian, by stwierdzić, czy nadaje się do przejęcia w przyszłości firmy, którą stworzył i rozkręcił od zera do stanu, w którym obracamy milionowymi inwestycjami. Doceniam, że daje mi tę szansę, chociaż mam dopiero dwadzieścia pięć lat i niedawno skończyłem studia. Od początku jednak łączyłem naukę z pracą w firmie ojca, więc mam wymagane doświadczenie i jestem gotowy.

Udowodnię to w Silver Springs.

Znowu zerkam na nawigację. Prowadzi mnie przez miasto poza centrum, ale właściwie nie potrzebuję wskazówek, bo doskonale wiem, dokąd jadę. Znam tę drogę jak własną kieszeń i chociaż nie było mnie tu od dziewięciu lat, to jak z pamięcią mięśniową: nadal wiem, gdzie skręcić i dokąd się udać, by trafić na miejsce.

Jakieś dziesięć minut później parkuję przed Silver Lodge.

Potrzebuję chwili, zanim wysiądę z auta, żeby wziąć się w garść. Spoglądam na znajomą fasadę pensjonatu, w którym kiedyś tak często bywałem, a w moim wnętrzu kotłuje się wyłącznie gniew. Nienawidzę tego miejsca. Zabrało mi tak wiele, że przed laty sądziłem, że już nic mi nie zostało. Z zewnątrz wygląda całkiem niewinnie, ale wiem, co – a raczej kto – czai się w środku. Nienawidzę ich każdą cząstką mojego ciała, i może dla ojca to wszystko to tylko biznes, ale nie dla mnie.

Ja chcę się przede wszystkim zemścić. Zamierzam odebrać im równie wiele, co oni odebrali mnie.

Jestem jednak dobrym synem, więc zrobię wszystko, czego oczekuje ode mnie ojciec, poczynawszy od założenia maski uprzejmego biznesmena i zaproponowania tym zdrajcom wyjścia z sytuacji, które ich nie zrukuje. Mimo że niczego nie pragnę bardziej, jak zobaczyć ich na dnie.

Pensjonat również wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałem. Podmurowany, z dwoma piętrami o drewnianej, wyraźnie odświeżonej niedawno elewacji, jest pięknie rustykalny i wydaje się przytulny. Z tego, co zapamiętałem, jego wnętrza również takie są. Aż szkoda, że to wszystko będzie musiało niedługo zniknąć.

Ale w zasadzie może tak będzie lepiej.

Wysiadam w końcu z samochodu i zapinam marynarkę, drżąc, kiedy owiewa mnie ostry podmuch wiatru. Jest tu chłodniej, niż zapamiętałem, ale w zasadzie to nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że mamy już początek grudnia. Ruszam przed siebie, szukając wzrokiem ludzi, z którymi będę się musiał za chwilę skonfrontować; na zewnątrz jest jednak cicho i spokojnie. Poustawiane dookoła

tandetne świąteczne dekoracje sprawiają, że mam ochotę niczym nastolatek kopnąć najbliższego renifera, powstrzymuję się jednak przed tak niedojrzałym zachowaniem. Ojciec chciał, żebym był uprzejmy i profesjonalny, więc dokładnie taki będę, choćby to mnie miało zabić.

To test. Wiem to doskonale. Zdam go, a dostanę firmę. Nie zdam, a mogę zapomnieć, że kiedykolwiek będę w niej rządził.

Nie zamierzam zawieść oczekiwań ojca. Kiedyś robiłem to aż zbyt często, podobnie jak matka, ale teraz już wiem, jak postępować właściwie.

Wchodzę do środka. Dzwoneczek nad wejściem oznajmia moje przybycie, a w tej samej chwili owiewa mnie ciepła fala powietrza pachnącego piernikami. Nie wiem, jak to możliwe, ale pewnie mają tu porozstawiane jakieś odświeżacze powietrza czy coś. Przecież ten zapach nie może być naturalny.

Za kontuarem recepcji stoi jakaś dziewczyna, którą mgliście pamiętam z moich nastoletnich lat w Silver Springs. Ma ładny uśmiech, ciemne, kręcone włosy i plakietkę na piersi z imieniem Sutton. Chyba...

Tak, to któraś z *jej* przyjaciółek ze szkoły.

– Saint Ashford – przedstawiam się, posyłając jej mój firmowy uśmiech. – Mam rezerwację.

Dziewczyna uśmiecha się do mnie, kiwa głową i zaczyna grzebać w komputerze. Chyba mnie nie rozpoznała, co z jednej strony mnie dziwi, a z drugiej – wręcz przeciwnie. Po moim wyjeździe pewnie zrobiono tutaj wszystko, żeby o mnie zapomnieć. Wiem, że matka obrała to sobie za cel.

W końcu nie skontaktowała się ze mną ani razu, od kiedy zerwała się praw rodzicielskich i mnie zostawiła.

Po chwili Sutton podnosi na mnie zakłopotane spojrzenie.

– Przykro mi, ale nie widzę pana rezerwacji – oznajmia.

Marszczę brwi. Jak to możliwe?

– To musi być jakaś pomyłka – stwierdzam autorytatywnie. – Proszę sprawdzić jeszcze raz. Rezerwacja musi gdzieś tam być, mój ojciec robił ją osobiście. Przeliteruję pani moje nazwisko.

Wiem, że traktuję ją protekcyjnie, jakby sama nie potrafiła go napisać, ale irytuje mnie jej nieudolność i nic na to nie poradzę. Jak trudne może być znalezienie rezerwacji, którą mój ojciec z pewnością tutaj zrobił? Zależało mu, żebym zatrzymał się właśnie w Silver Lodge. Chciał dać mojej matce i temu dupkowi, Victorowi Price’owi, ostatnią szansę, żeby wyszli z tego z twarzą. Pod tym względem jest lepszy od nich.

Ale żeby jego plan się udał, najpierw Sutton z recepcji musi znaleźć moją rezerwację.

– Niestety, proszę pana, nadal jej nie widzę – oznajmia nieco nerwowo dziewczyna, jakby domyślała się, że jestem na skraju wybuchu. – Może przypomina pan sobie, jakim sposobem została zrobiona rezerwacja? Albo ma pan jakieś potwierdzenie?

Wzdycham. Jestem pewien, że ojciec wysyłał mi ją na maila, ale nie wczytywałem się zbyt dokładnie w szczegóły, bo znałem już adres i datę przyjazdu.

– Zaraz to sprawdzę – obiecuję. – Ale może mógłbym porozmawiać z właścicielem? Victor Price na pewno znajdzie dla mnie miejsce.

Dziewczyna rozszerza oczy.

– Znał pan pana Price’a?

Czy go znałem? Czy to oznacza, że...

– Mieszkalem tu – wyjaśniam cierpko. – Lata temu.

Cisza rozciąga się między nami, a ja widzę wyraźnie, jak w głowie Sutton poruszają się kolejne trybiki. W końcu jej ciemne oczy robią się jeszcze większe, a ja zaczynam mieć obawy, czy zaraz nie wypadną jej z oczodołów. Chyba wreszcie mnie poznała.

I wyraźnie wie, kim jestem dla właścicieli tego miejsca.

– Ja... zaraz wracam – piszczy, po czym dosłownie ucieka z recepcji na zaplecze.

Powstrzymuję kolejne westchnienie. Czekam cierpliwie przez chwilę, ale kiedy dziewczyna nie wraca, zaczynam mieć powoli dość. Skądś dobiega mnie jakaś natrętna świąteczna melodia, a że nie znoszę każdej, wszystko to, włącznie z tymi znajomymi ścianami i zapachem piernika zaczyna mnie przytłaczać. Wyciągam telefon i wchodzę na skrzynkę mailową, ale zasięg tutaj jest tragiczny. Odwracam się więc i ruszam z powrotem do wyjścia.

Wychodzę przed pensjonat, na szeroką werandę, z której rozpościera się piękny widok na okoliczne góry. Wdycham głęboko świeże powietrze, nie zważając na zimno i prawie nie myśląc o tym, że nie zabrałem ze sobą właściwie żadnych porządnych zimowych ciuchów. Nie zamierzam tu być na tyle długo, by zaczęło mi ich brakować. Ojciec zrobił rezerwację... chyba na tydzień?

To i tak o sześć dni za długo.

Zerkam w telefon, ale mój wzrok zostaje przyciągnięty jakimś ruchem na podjeździe przed pensjonatem. Zerkam w tamtą stronę i o mało nie upuszczam komórki z wrażenia.

Jezu. To nie może być...

Ale, kurwa, jest. Marigold Price stoi kilka jardów przede mną i nie jest już czternastoletnią dziewczynką, której dokuczałem, marząc, by usłyszeć jej śmiech, bo brakowało mi tego w moim rodzinnym domu.

Nie. Jest kobietą i w dodatku, ja pierdolę...

Jest piękna.

Dwa lata ode mnie młodsza, musi mieć w tej chwili dwadzieścia trzy. Nadal jest młodziutka, ale z pewnością nie jest już dzieckiem. Niewysoka, z długimi blond lokami i zaróżowionymi od zimna policzkami, z rozchylonymi pełnymi ustami i tymi niesamowitymi błękitnymi oczami Mari przeobraziła się z małego aniołka w kobietę, dla której totalnie można stracić głowę. Ma na sobie obszerną zimową kurtkę, więc nie mogę zobaczyć zbyt wiele, jeśli chodzi o jej ciało, ale założę się, że jest miękkie i zaokrąglone dokładnie tam, gdzie powinno.

Na mój widok przystaje na chwilę w miejscu i robi zaskoczoną minę. Trochę wybija mnie to z rytmu, bo przecież ojciec zarezerwował mi tu pokój, więc musiała wiedzieć, że przyjeżdżam. Sądząc jednak po jej minie, absolutnie tak nie jest. Mari nie wygląda na przygotowaną na naszą konfrontację, a ja...

Jezu, zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

W końcu to ona pierwsza się odblokowuje. Uśmiecha się w sposób, który zapiera mi dech w piersi, po czym rusza w moim kierunku. Wygląda zupełnie tak, jakby cieszyła się na mój widok, co musi być fałszywe. Obserwuję każdy jej miękki, płynny krok, bez słowa patrzę, jak wskakuje po kolejnych stopniach werandy, aż w końcu się ze mną zrównuje. Okazuje się dużo niższa, na tyle, że musi podnieść głowę, by spojrzeć mi w oczy, i jest w tym coś cholernie podniecającego.

Czuję od niej zapach piernika. Ten sam, który wypełnia cały ten pieprzony pensjonat.

Jak to w ogóle możliwe? Jakim cudem ten mały aniołek wyrósł na piękną kobietę, przez którą prawdopodobnie nie będę mógł zasnąć dzisiaj w nocy?

– Saint? – pyta lekko zachrypniętym, drżącym głosem. – Jezu, to naprawdę ty!

A potem tak po prostu mnie przytula.

Zarzuca mi ręce na szyję i przywiera do mnie cała, miękka, ciepła i ufna, jakby naprawdę za mną tęskniła, jakby cieszyła się, że tu jestem. Co musi być kłamstwem albo dobrą grą aktorską. A jednak nie potrafię zareagować inaczej, jak tylko odwzajemnieniem jej uścisku; obejmuję ją w tali, przyciągam do siebie bliżej, chowam twarz w zagłębieniu jej szyi i zaciągam się jej zapachem, tak obcym i znajomym zarazem. Odkrywam, że serce bije mi jak oszalałe, chociaż nie powinno.

To moja przyjaciółka z dzieciństwa. Dziewczyna, do której uciekałem, gdy w moim domu robiło się źle.

Ta, której zdrada bolała najbardziej. Rozerwała mi serce na pół i nikt nie był w stanie go potem skleić.

A teraz przytulam ją, jakby nic się nie wydarzyło. Jakbym dziewięć lat temu nie stracił wszystkiego, na czym mi zależało. Jakby nie ukradła mi tego, co było dla mnie najważniejsze.

Już teraz czuję, że Marigold Price ponownie będzie moją zgubą.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

NIGDY SIĘ NA TO NIE ZGODZĘ, SAINT!

Marigold Price wraz ze swoją macochą Lizzie prowadzi przytulny pensjonat w małej górskiej miejscowości Silver Springs w stanie Kolorado. Pół roku temu dziewczyna straciła ojca i choć niesamowicie za nim tęskni, to z całych sił stara się udowodnić Lizzie i całemu światu, że ze wszystkim poradzi sobie sama, że o wszystko sama zadba – wcale nie gorzej niż jej zmarły tato. Sześć miesięcy po jego odejściu wydaje się, że życie w pensjonacie Silver Lodge powoli wraca do normy. Zbliża się Boże Narodzenie i obie panie Price zajęte są dekorowaniem domu w oczekiwaniu na spragnionych śniegu turystów.

Tymczasem nad spokojnym Silver Springs zbierają się ciemne chmury. Krążą plotki o kimś, kto skupuje ziemie na obrzeżach miasteczka. Atmosfera zagęszcza się wraz z przyjazdem Santa Ashforda. Biologiczny syn Lizzie Price i dawny przyjaciel Mari, jeszcze z dzieciństwa, wraca po latach do Silver Springs z zamiarem przemienienia cichej górskiej miejscowości w drugie Aspen – ogromny kurort narciarski. Ten pomysł zdecydowanie nie podoba się Marigold. Dziewczyna postanawia walczyć o zachowanie tożsamości miasteczka i o ukochany pensjonat, co do którego Saint także ma pewne plany...

PATRONI MEDIALNI:



● CUTE
●● SENSUAL
●●● SPICY
●●●● DARK

editio
Red
+18
EDITIO.PL

ebook dostępny na:
ebookpoint
ISBN 978-83-289-1427-8
9 788328 914278
Cena: 49,90 zł